

Ogólnopolski Konkurs Poetycki

O LIŚĆ DEBU

Płock 2024





Honorowy Patronat
Prezydenta Miasta Płocka
Andrzeja Nowakowskiego

XXXVI edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”
sfinansowana została ze środków **Urzędu Miasta Płocka**

XXXVI edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”

O LIŚĆ DĘBU

Wiersze nagrodzone

Książnica Płocka
im. Władysława Broniewskiego

Organizator konkursu i wydawca tomiku wierszy nagrodzonych

Książnica Płocka im. Władysława Broniewskiego w Płocku

Opracowanie redakcyjne: Joanna Banasiak

Projekt okładki i skład komputerowy: Dorota Zalewska

Korekta: Zespół

Fotografie:

prace członków Płockiego Towarzystwo Fotograficznego im. Aleksandra Macieszy
prezentowane na wystawie „Mój Płock 2024”

Książnica Płocka jest instytucją finansowaną przez Urząd Miasta Płocka

ISBN 978-83-66228-30-6

Druk i oprawa: Drukarnia Mediakolor

O konkursie – cztery uwagi, jedna markotna oraz trzy pogodne

Konkursy poetyckie jednocześnie zachwycają i rozczarowują.

Pierwsza uwaga - pogodna

Zachwycają mnie dowody na konieczność poezji. Każdy wiersz, który został napisany, choć nikt tego nie wymagał, świadczy o tym, że wypowiedanie się w sposób niekonwencjonalny stanowi rodzaj ludzkiej potrzeby, że język poetycki pozostaje językiem bezinteresownej wrażliwości, a ta z kolei znaczy ludzkie w ludziach. I niech mi będzie wybaczony patos tego stwierdzenia.

Druga uwaga - markotna

Rozczarowanie to efekt spostrzeżenia, iż niekonwencjonalne wypowiedanie się w praktyce jest czymś niezwykle trudnym, dla większości, którzy tego pragną – nieosiągalnym. Przeważająca część spośród setek konkursowych wierszy nacechowana jest porażką – zamiast idiomu, własnego stylu, spetryfikowana dykcja, często jeszcze o młodopolskim rodowodzie. I niech mi będzie wybaczona arogancja tego zdania.

Trzecia uwaga - pogodna

A jednak nawet te wiersze niewłaśne, podyktowane przez zmęczoną pamięć szkolnych lektur, nieożywione przez intensywne czytanie wierszy współczesnych, zasługują na szacunek. W prawie każdym tkwi jakaś porcja wartych uwagi przeżyć, każdy jest zwrotem ku drugiemu człowiekowi, bywają szczere, wylewne, otwarte. Bywa w nich ładunek silnego zaangażowania w sprawy społeczne. Zdarza się usłyszeć gniew spowodowany przez niesprawiedliwości świata, sprzeciw, bunt, szyderstwo. I jest jeszcze bardzo dużo przejmującej samotności.

Czwarta uwaga - pogodna

Wiersze nagrodzone i wyróżnione są naprawdę interesujące i udane. Widać w nich pracę ze słowami, pracę nad sensem, rytmem, autentyczną urodą wersu i strofy. Słysząc w nich pulsującą, własną

myśl, wycucie paradoksu, pomysłowość. No i mają coś do powiedzenia o sytuacji tu i teraz, tej postaci, w tym idiolekcie.

Na przykład w wierszach, które zaczynają się takimi strofami:

widzę ten content na Twoim wallu, mizerną,
klątwę mieszanych nastrojów, pokłosa
bywania pośrodku przekroju, przekleństwo:
rozszerzył się rozjazd, trzeba nadążać, i tak
aż do końca, myśl – staje się zdrożna.

(Krzysztof Kwintkiewicz)

ogród dziczeje, jeż ogląda liście pyta o klucze
do urny. umarli zawsze mają ciche dni.

(Ewelina Kuśka)

Laurie Anderson wyprawia nas pod kopułę
skąd dzieciinniały starzec ukradł listopad
z kapsuły czasu rankiem kiedy mleczarze
śpiewali o miłości tak trafnie że pękło jedno
z okien jak z procy z której mierzyłem
by postawić blok do pionu

(Tomasz Smogór)

Wszystkie budzą ciekawość dalszego ciągu, we wszystkich mówiące „ja”, zachłanne, wzdęte od lirycznego przejęcia, dzieli się miejscem, przestrzenią wiersza, z jakimś „ty”, z obrazem lub wręcz wtapia się w podmiot zbiorowy. I dzięki temu w tekście zaczynają się dziać rzeczy ciekawe.

*

W jednym z nadesłanych na konkurs utworów autor lub autorka pyta, jak oni – czyli jurorzy – mogą oceniać duszę poety. To nie tak, proszę Pana (lub Pani), dusza autorska nie podlega ocenie, a tylko tekst, który być może stoi przed nią lub za nią, a być może nie ma z nią nic wspólnego. Ocenie – zresztą ostrożnej, pokornie zakładającej swą omylność – podlega jedynie ciało wiersza, niech będzie, że również jego duch, duszek, które w czytelniku, w duszy czytelnika, albo coś ożywia, albo nie.

Piotr Śliwiński

KOMUNIKAT
z posiedzenia komisji konkursowej
XXXVI edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”

Jury XXXVI edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu” w składzie:

- | | |
|---------------------------------|---|
| – prof. dr hab. Piotr Śliwiński | – krytyk literacki, badacz polskiej poezji współczesnej |
| – Barbara Klicka | – poetka, pisarka, redaktorka miesięcznika „Dialog” |
| – dr Joanna Banasiak | – Dyrektor Książnicy Płockiej |
| – Maciej Woźniak | – poeta |

po zapoznaniu się ze 121 zestawami wierszy, na posiedzeniu 17 października 2024 roku, postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I Nagroda Prezydenta Miasta Płocka „Liść Dębu”

Krzysztof Kwintkiewicz, Warszawa, godło „CELL BLOCK TANGO”

II nagroda

Ewelina Kuśka, Jastrzębie Zdrój, godło „Szczaw”

III nagroda

Tomasz Smogór, Kłodzko, godło „nafciarz”

Wyróżnienia:

Mirosław Kowalski, Mysłowice, godło „MECH”

Artur Boratczuk, Boleszkowice, godło „Oczodół”

Janusz Pyziński, Dębica, godło „BABIE LATO”

Wyróżnienie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Oddział w Płocku

Katarzyna Zając, Ozimek, godło „Rdza”

Wyróżnienie za wiersz o tematyce płockiej

Marcin Krzysztof Roszkowski, Sochaczew, godło „Herbatnick”

Wyróżnienie Dyrektora Książnicy Płockiej w kategorii limeryku

Artur Kozłowski, Ząbkowice Śląskie, godło „IZOOKTAN”

Ponadto jury zakwalifikowało do druku wiersze następujących autorów:

Milena Gojny-Zbierowska z Chorzowa, Tadeusz Dejnecki z Płocka, Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubkiej, Luiza Wilczyńska z Łodzi, Artur Maciak z Warszawy.

Organizatorzy konkursu i członkowie Jury gratulują laureatom
i zapraszają do udziału w kolejnej edycji konkursu

Krzysztof Kwintkiewicz

I Nagroda

Prezydenta Miasta Płocka

„Liść Dębu”

Teoria martwego internetu

widzę ten content na twoim wallu, mizerną
klątwę mieszanych nastrojów, pokłosa
bywania pośrodku przekroju. przekleństwo:
rozszerzył się rozjazd, trzeba nadążyć, i tak
aż do końca, myśl – staje się zdrożna.

patrz, ich wiara to wierutne
kłamstwo, zawierzone systemowi, który
systematycznie potrafi tylko ograbiać, ścierać
jak grabione liście.

trwała strata to jedyna stała, tak to
już działa, żadna tajemnica: bezsensem
jest się starać, wciąż nie być podmiotem
w tym miocie.

widzę ten content na twoim wallu, misterne
wołanie o niepokoju. nowy dzień, nowy
trud, znowu rozszerzył się rozjazd, już
dłużej nie można. powtarzasz: tak
dłużej nie można.

Teorie ach, hau hau i hej ho

wszystko co
przekazane
wszelkie
nazwanie
wszelkie
przyzywanie-nawoływanie
wszelkie
dzielenie-rządzenie
miało wykwitnąć
z pojękiwań przedłużania
i pochodnych poboлевania

w opowieści dalej
nie zawiera się
znaczenie

Teoria absolutnej ambiwalencji

MOŻE	ZA	ŻYCIA
RAZ	ZA	BRAKNIE
MOŻE	ZA	ŻYCIA
RAZ	ZA	BRAKNIE
MOŻE	ZA	ŻYCIA
RAZ	ZA	BRAKNIE
MOŻE	ZA	ŻYCIA
RAZ	ZA	BRAKNIE
PÓŹNO	ZA	BRAKŁO

Teoria epigenetyki perypatetycznej

chodzi o to
że przechodzimy przez wszystko
co z kogoś na nas przeszło
i nie chce przejść

Teoria ciągłości kosmogonii

jest w tobie
obłądła wielość światła
rozszanego nierówno
po nieposłusznych cząsteczkach
ale jest

rozmywa się między szaleństwem
zaproszonych dźwięków intensywnością
tęsknoty za dreszczami

rychłe rozbłyski supernow
umykają

potęga syfonów energii
przeraża

jest w tobie
jaskrawy korowód galaktyk
zbyt głęboko zbyt nieruchomy
niemożliwy analogii
samoistny
trudny
ale jest

Ewelina Kuśka

II nagroda

Siostry i bracia.
cztery kąty należą do dzieci. wszystko zmierza
do światła. wiatr chodzi po polach.

świat nie pamięta że kiedyś istnieli.
tylko matka chciała zatrzymać czas nie w porę.

leżała na pustym ściernisku. zmielone słowa
zostaną jej w ustach przez wieczność.

wszyscy byliśmy wojownikami. wierzyliśmy
że wolność wyprzedza prawo. pachniało trucizną.

matka zabiła kurę. miała w żołądku ziarna
pełne zdrowasiek. antracytowy cień na ścianie.

zieleń położę na sercu i szare kłębki kotów.
może jeszcze obrodzą dzikie mirabelki.

Ropucha

między paprociami turkusowy promień i szara
ropucha. chowa troski między brodawkami.

rzadko gnieździ się we mnie głos. boję się pustki
w ustach. lękam się echa co żyje we mnie.

powinnam ożywić pluszowego misia. przemierzyć
stół. przejść pokój na skróty. za płótem śmiech dzieci.

za oknem trzask łamanego liścia. ropucha uchyla okno.
między brodawkami ukrył się mój głos.

turkusowy promień wydaje dźwięki czułe
jak cofanie czasu pod nieuwagę Boga.

Słoje

niektóre napętniam pustką. duszę niemowlęcia
niańczę po nocach.

jest mysim promyczkiem podobnym do
kawałka bibuły.

dobrze zakręcam słoik. obok mieszka cień ptaka.
cisza rozrywa go od środka.

pies szczeka. idziemy niczym para zakochanych.
miodowe światło pada na liście.

z ziemi wyrastają słoje napętnione śpiewem ptaków
z rajskiego ogrodu.

Dzień pełen mgieł

ogród dziczeje. jeż ogląda liście pyta o klucze
do urny. umarli zawsze mają ciche dni.

nadal mam kobiece nogi lecz nie rozmawiam
o tym głośno. lęki wchłonęły bagna.

pęknięcia na palcach nie krwawią. oddaję je
korzeniom fasoli na karmę dla chrząszczy.

słodka słodka jest wolność gdy pochylam
kanarkową twarz ku smolistej ziemi.

Czy po śmierci rozpoznasz ciało które było w tobie?

świat zmienia kolory. rozmienia czas na drobne.
właśnie odchodzisz.

między cichymi dniami wprowadzamy pokój.
nie rezygnujemy z pracy.

powyjmy jeszcze do księżyca nim odejdzie miłość.
zęby się od tego kruszą.

i tylko nie zniknie ślad po ostatniej wieczerzy.
wiatr nas potargał. ziemia nas posiadała.



Tomasz Smogór

III nagroda

tak trafnie

Laurie Anderson wyprowadza nas pod kopułę
statku skąd zdziecinniały starzec ukradł list
z kapsuły czasu rankiem kiedy mleczarze
śpiewali o miłości tak trafnie że pękło jedno
z okien jak z procy z której mierzyłem
by postawić blok do pionu

uciekałem się do przedstawień
i grymasów jednooki karzeł był świadkiem
albo kronikarzem miasta chcącym umoczyć
je w rynsztoku

wyprowadź jeszcze dziś statek i odleć
szeptał wiatr przebijający się przez jarzębinę

kierunek

jeden dzień zbiera się w deszczówce
a reszta jest jak odcięte i rozrzucone palce
wskaż im kierunek aby nie musiały się szukać
nie tyka tu zegar czas jest zamrznięty
jak w kasynie gdzie na pętlach wiszą
astronauci i nagle podbiega sfera dzieci
by ich rozhuścić uśpieni dyndają
szukając pępowiny przypominającej
rozsypaną ścieżkę

chodź do górnych pokoi
odezwie się dziewczyna
kładąc na łóżku bieliznę
niedługo jej cień tam zakwitnie

czy to jest blues?

w refleksach kieliszków tańczy melancholia
kontuar przypomina lodowiec
Van Morrison spływa do ciebie na winylu
możesz go zobaczyć jak na scenie

taniego hotelu z widokiem na stację paliw
miłość usypała się w stożek papierosa
nie rozbudzi jej nawet dzbanek kawy
tatuaż wspina się po ramieniu barmanki

czy to jest blues? zdają się pytać jej oczy
każda myśl to taplający się w szklance flaming
tam gdzie trzech golfistów nie mogło trafić
idealnie wpasowałeś się w dotyk

zmień pasmo

napięcie buduje się między
stolikami a kontuarem
światło wydłubuje z jej
policzków skrawki rózu

półmrok upatruje drogę
do motelu za azyl
autsajder zlizuje lakier
z maski samochodu

światła wygasły szybciej niż słowa
Chris Rea jeszcze śpiewał
kiedy gość próbował się podnieść

coś musiało zwieść pracownika
stacji paliw że szukał schylonej postaci
za dystrybutorami

ogniska

wymijam karawany stadka wyblakłych kruków
osiedla podchodzące pod cmentarze ogniska
na których skruszono ostatnie blanty puszczyka
który ukrył się w uchu lasu

podszepł kapryśnego lata rozcieram jak jagodę
na jej ustach rozgryziona smakuje jak okazja
brana na przydrożnych stacjach niedługo na ostatkach
wydzielin napotkamy napowietrzne miasta

Mirosław Kowalski

Wyróżnienie

MYDLANE BAŃKI

te wszystkie obłoki zbiegłe ze snów zabłąkane
przypinaj do firanek i zasłon
kupuj na straganach mydlane bańki
takie ze świetlikiem lub cukrowym dzwonkiem w środku
kupuj całe girlandy starych dojrzałych strof rymów dźwięków
przystroimy mieszkanie i balkon
sami i po swojemu obok wszystkiego
obok wszystkich

dowiedziałem się dopiero teraz
od przeszło trzech lat
nie żyje chłopiec z ogródka
pewnie jeszcze czekają na dotyk
opuszczone książki i pies
myślą że to tylko na chwilę
a wszystkie chwile kręcą się samopas
po ulicach zakamarkach i w trawie
snują się po dachach
wpadają w pozostawiane rynny
chwile jak mydlane bańki

nieraz jeszcze wyjdziemy z którymś obłokiem na spacer
tak po prostu pogłaskać jakiegoś psa odetchnąć
powiedzieć komuś dzień dobry
i choć nie ma złudzeń mimo wszystko
zajrzemy tam dyskretnie
do jednej czy drugiej rynny

WCIĄŻ BĘDZIEMY UCIEKAĆ

uciekamy przed śmiercią motyla
modraszka ariona (sprawdzone w atlasie owadów)
odklejonego od gładkiej szyby dzieckowickiego zalewu
suszonego na sznurku traw jak pranie
od letargu topielca po zdumienie jeszcze jednym lotem

wiem że jutro po świcie
kiedy zbudzisz radio i dzwon szklanki z kawą
znowu ucieknę
wniknę w labirynt zmiętej kołdry
na chwilę jeszcze
choć radio katowice nęci nieraz *pink floydem*
i *balladą o dziwnym malarzu*

uciekamy przed śmiercią naszego psa
płynąc ratunkową tratwą przez ulicę emilii plater
chłoniemy ciepły uśmiech pani weterynarz
upojeni melodią diagnozy *nic groźnego ta narośl*
uspokojeni wciągamy wiośła na pokład
kołyszając się na spokojnych wodach za kolejną niagarą

jak róża prerii
uciekiesz w sobotę rano
w zakamarki zielonych samotni
odszukam
spotkamy się w cieniu
naszych yellowstońskich sosen i brzoź

pedałując ku znakom dymnym elektrowni jaworzno
odnajdę cię o trzy strzały z łuku przed przemszą

zdążając jej ciągle naprzeciw
na rowerach pieszo na rolkach
na wyśnionych dzikich mustangach
będziemy wciąż uciekać przed śmiercią

NIE ZASYCHAJĄ NA DOBRE

jak dym z kadzideł
jak rozmyte szarugą liście
spod zmurszałych powiek listopada
sączą się kropla po kropli
albo skapują nam spod sufitu
do kieliszków z czystą
nie zasychają nigdy na dobre

wynosili się stąd przedwcześnie
na ramionach poważnych figurek
w garniturach z lampasami

nieraz stoją w liściach
zamyśleni czubkiem buta
gmerają w niedogaszonych zamysłach
niektórzy na smugowych ulotnych rowerach
wjeżdżają nam w postrzępione sny
albo z księżycem pod rękę przechadzają się
po mostach łączących spinających
nie zasychają

my tacy jak zwykle
nastawiamy budzik opłacamy rachunki
zwalczamy insekty grypy i kace-giganty
celebruujemy kolejne wigilie i mundiale

racjonalni i poukładani
przed sobą udajemy niewzruszonych i słabo widzących
kiedy oni wyraźnie tuż za oknem
lepią bałwana z dymu i wosku



nad rzeką jest inaczej
budzi się uśpione
ruchomieje zasiedziały krajobraz

ci którzy stali się tylko niewidzialni
spod przymkniętych powiek
spływają w smętnych kajakach

każdy ból jest jak kamień
choć nieco wygładzony upływem
nadal jednak ciąży
tu patrzy się do przodu i wstecz
jednocześnie

widać to wyraźnie
niewidzialni płyną w kajakach
po wodzie ponad nią
albo po mglistych mostach
przechodzą nad rzeką

i jeszcze to
na drugim brzegu w zaroślach
buszują niewidzialne psy chomiki i koty
z grzywą w chmurach
dostojnie skubie trawę
czyjś uskrzydłony niewidzialny koń
ból jest wszędzie ten sam
ale nad rzeką
boli jakoś bardziej od zewnątrz

woda bardzo powoli
łagodzi kamienie

JEŚLI ZOSTANIESZ ZE MNĄ

to za moją przyczyną
masz same białe plamy na zachodach słońca
i szramę na brzuchu po cesarskim cięciu
jest ci wierna jak ten pies
który żyje z nami na kocią łapę

za psa i zachody nie daliśmy ani złotówki
za to haracz z pokruszonych wieczorów
płacimy nocnej lampce

wiesz że nie będzie stabilnie
jeśli zostaniesz ze mną
ale twoje będą wszystkie piąte koła u każdego wozu
i zawsze możesz liczyć na zeszłoroczne śniegi
wielkie słoje musztardy będę ci znosił po każdym obiedzie

z rzeczy bardziej praktycznych mogę zapewnić
wiklinowe kosze i siatki plecione z suchych traw
pełne żywicznego dymu
i co jakiś czas klejnot zimorodka nad stawem
będziesz mogła zastawiać ze mną wiewiórki
na ławice świecących ryb widmowych
które przepływają nad naszym dachem

jeśli zostaniesz ze mną
to tylko twoje będą
strzyknięcia w drewnianych kręgosłupach dni
i będziesz miała przyrośnięte do stóp
pokręcone ścieżki i bezdroża

Artur Boratczuk

Wyróżnienie

Ofiara

Mam tylko woreczek z lawendą
i w kącie pokoju małe niebo z gwiazdami.
Potrząsam woreczkiem
i księżyc popiskuje jak pies, który zgubił trop.
Wszystkie gruczoły wydzielają strach.
Boi się trzustka i tarczyca.
Mgławice w piwnicach,
światliste wyodrębnienia kolejnych tokenów,
różowe, jednorożcowe, asertywne i aseptyczne:
nie zmartwychwstaniemy aby dokończyć
niedokończoną sprawę,
nie wstaniam z martwych by zacząć
wszystko od nowa,
ani po to
żeby zapomnieć.
Potrząsam woreczkiem
i skruszone antyczne posągi i szklane sarkofagi cyferblatów
chrupią pod nogami niczym muszelki na morskiej plaży.
Podziwiam zachód słońca. Niebo
jak wielkie pawie pióro dotyka moich powiek.
Ocieram usta z pyłu dytyrambów
i zagrzebuję w ciepłym popiele rozłożyste lipy,
sensy i narracje.
Oddałem w całopaleniu wszystek opisany świat,
a gdy żaden bóg go nie zechce,
z dymu ofiarnego wyrzeźbię nowy.

Wyrocznia z Plastinarium

Przychodzą, żeby przepowiadała przyszłość,
nawet gałęzie wiązu.
Jaką przyszłość może mieć wiąz?
Weź tą. Będzie dobrą żoną.
Ładna, nieładna – jak nie ma wąsów,
już się można cieszyć.
A wy, gołębie z mchu naczyń krwionośnych?
Chciecie znać los?
Już nie uciekniecie
od perwersyjnej wyobraźni
nieletnich dziewcz
obdartych ze skóry,
nagich mięśni psów rzucających się do gardła.
Gdy mnie złapała za rękę powiedziałam:
„Dobrze.
Ale proszę nie zdradzać,
z jakiej dziedziny dostanę nagrodę Nobla.
Niech to będzie niespodzianka”.
Palcami niczym szlauch pod ciśnieniem rozwarła moją dłoń.
Jakby bazgrząc sprayem po wiaduktach, wysyczała:
„Rycerz z niebieską ostrogą
z dziecięcego rysunku i wierszy Różewicza
wskoczy kiedyś na koń
i pogalopuje ku zarośniętym brzegom jeziora
spoglądać w oczy obmywanej przez chłodną wodę Ofelii
z obrazu Millaisa.
Jego wielka przygoda z kobiecością
trwać będzie w nieskończoność”.

Chciałem wyszarpnąć dłoń,
ale syczała dalej:
„Zaklaskasz umierającej muszce,
która jak półnaga akrobatka w cyrku
lewitować będzie pod sufitem
na niewidzialnej pajęczej nici.
Skłonisz się pękającym strąkom grochu;
wysłuchasz w tawułę przy drodze.
Krzaki żyją dłużej niż ludzie.
Raz tylko zabije mocniej serce,
jakieś ciepło pójdzie od piersi,
czarne słońce eksploduje w głowie,
i koniec”.

Czerwona wieża

W czerwonej wieży dobrze płacą.
W prezencie dają wieczność
i proroctwa
Spisane na liściach datura stramonium.
W czerwonej wieży będziesz słyszał,
jak zabijają psa
i bał się stanąć w jego obronie,
żeby i ciebie nie zabili.
Niech wcieli się w piękną dziewczynę.
Niech ją pokochasz, jak będziesz stary.
Niech ona odwzajemni twoją miłość.
W czerwonej wieży nie ma schodów;
a nad głową ciemność.

Afrodyta z food trucka

Ona z chleba,
ciastowato seksowna.
Jej ciało się mości
w nieskończoności.
Jej skóra złota jak frytki, odrobinę cierpka,
krucha jak delikatne rybne mięso,
święteczny rarytas.
Z największych głębin.
Słona, wykwinna.
Chodź, pójdziemy do parku,
parku zakamarku,
gdzie bawią się dzieci,
z namaszczeniem pijąc wodę z pustych dłoni.
Okryje nas czas.
Jak makowe główki makowe ziarenka.

Drzwi

W miasteczku z puncą cywilizacji posiadania celu
rzeczy na ziemi
nie wydają prawdziwych dźwięków
i gdy pytałem o drzwi,
udawali namysł i transformację – lecz milczeli.
A drzwi stały oparte o słup przy chodniku;
w złuszczonych farbach,
trochę spróchniałe od dotu,
z wypaczoną płyciną,
rozchwierutaną klamką,
koślawymi zawiasami.
Trzaskał nimi wiatr.
Przez te drzwi wkroczyłem.

Miliardy much, małp, małży,
małych stworzeń wierzących w miłość!
Wszystkie zabawy pozwalały się w siebie bawić.
Wystarczyło, że przeszedł jeden, a powstawała ścieżka.
Raz byłem znów stary, potem znów młody,
jak to w opowieści.

Przed powrotem nalałem do swojego bukłaka
krajobraz z pagórkami, żyto, pszenżyto, jakąś gryczkę,
lasy, strumień oczywiście, brzęczenie owadów,
czarną szczelinę przez którą widać istotę spraw,
odrobinę absurdałne wieczory,
imiona nadane aniołom i tornadom.
To moja święta woda życia.

Janusz Pyziński

Wyróżnienie

Bękart

moja wieś – parciany siennik wymoszczony słomą jak głowa myślami
o świetlanej przyszłości w mieście do którego daleko a tam blisko wszędzie
i jest wszystko co tylko wszystkim być może mówią że śmierć jest tylko
przeprowadzką odskocznią od tu i teraz próbują zaliczyć kolejny dzień
prawdy wolnej od rojów komarów i much urojeń błękitu pod którym na wznak
zasnął miedzny kamień zanim zbudzi go poranny kaszel traktora obrośnie
mchem zzieleniałego strachu przed nowym idącym na przełaj po kocich łbach
psich żebrach byle szybciej na bankiet do skowronka trzymającego się skórki
nieba jak strup rany po kosie pod bandażem łąk jeśli wierzyć korzeniom drzew
po drugiej stronie krzyża jest gniew z sosnowych zbity desek w niepewność
prawd odwiecznych dojrzewających w starych bliznach pytań o sens trwania
przy swoim jak chleb powszedni bez masła pomiędzy wolą a beznadzieją

niebo pachnie ciepłym mlekiem matki chłopcy piszą listy o tęsknocie
za nieznanym maj jak zwykle zawiódł jak poczta lub za wcześniej
odchodzący pociąg do dziewczyn szukających wyjścia z sytuacji
bez wyjścia mnożą się przypuszczenia jak króliki na wiosnę kiedy
jeszcze śnieg i nie pora na żadne wydeptywanie krajobrazów ze snów
w głąb młodzieńczych drzeń na wysokich obcasach mówili bękart
a ona czuła zapach tamtych perfum za każdym chłodem rąk Piłata
miejsca pewnych zdarzeń i miejsca intymne łączy wspólnota
ludzkich spojrzeń tak tych spod płotu jak i tych z okien kiedy wiatr
rozchyła szlafroczek firanki i pewnym się staje stan błogosławiony

a raczej przeklęty co piękne dla oka hiobowe dla myśli gdy pomiędzy
ciałem a potrzebą zimowego ciepła wieś skazuje pannę na wygnanie z raju

a tak było pięknie i mogło być piękniej wystarczyło tylko o ślub się
postarać a później o dziecko rozlało się mleko na przestrzeń
odwróconą do góry nogami większe wybieliło błędy ukoiło dzwony
na majówkę przy każdej kąpieli usiłując zmyć stary makijaż
ale wieś pamięta nie śpi czuwając nad cieniem żeby w cień nie odszedł
plotkarskie usta galaktyk aż po zimny marmur wgryzać się będą
jak kret w ziemię rzucać kamieniem w krzepnący czas kroić cebulę
nad cudzym losem czytać biblie świata od deski do deski że ojciec
powinien być ojcem a nie urojeniem więc nie dzwoń pozwól
mówić gwiazdom szeptem zza węgła ukradkiem dopóki
nie zgasną dopóki nie spadną w wypięte łuki katedr
gdzie szczęśliwy ten kto się nie narodził i nie zaznał młodości



Instynkty

moja wieś jak Pompeje – tylko popiół cięższy o bagaże tuziemców
miesza się ze rdzą dzieciństwa pietą imion z którymi wygrywaliśmy
podwórkowe wojny łamiąc traktaty i rozejmy budowaliśmy mosty
z brzegu na brzeg łózek każde z nas po swojej stronie zimy
w kokonie chłodnej ciszy bijącej się na kije z myślami
i te ściany zimne z przypiętym uśmiechem zupełnie jak u Kaśki
nie pasujący do mnie nijak wąski i szczerbaty niczym płot
po rachunkach krzywd na wiejskiej zabawie dziewczyna
rozpalająca piec a nie potrafiąca ogrzać śni mi się puch marny pod
i gęsi na pierzynę ciepło rozlewa się po łędźwiach gdy czytam
braillem jej imię mapę bezpiecznej celi w której można się ukryć
zagrać w ruletkę dróg wiodących do gdy GPS zawiedzie

to tak na marginesie między nami a styczniem gdy wieje chłód od rzeki
i łąka zamienia się w skałę a tak naprawdę pod popiołem tętni tęsknota
za powrotem gdzie próg z rozgwieżdżonym niebem wypala fajkę pokoju
do starej biedy (dzięki Bogu nowa nie nadchodzi) i niezagojonych ran
po zamianie strzechy na eternit stygmaty blachy pojawiają się później
kiedy nad głowę sierpień a pod dachem piekło i grudzień mokry
jak listopad depcze po śladach saren spieszących pod stodołę
za wonią słońca i siana im bardziej ślepnę tym czuję więcej
zwierzęcym instynktem zapisuję przestrzeń pomiędzy wnykami
a wioską daty ostatnich obecności tu Judasza wśród gniewnych
pomruków Hefajstosa handlującego dziełem Mengelego.

moja wieś ze spróchniałych belek próbuje sklecać ściany
z porośniętej mchem słomy strzechę z zapomnianych imion

pamięć kuchennego ognia i cień dymu z komina świadczącego
że ktoś tu jeszcze mieszka zapomnieć jutra kliknąć w obce światy
rozmów z niewidzialnym dalekim a bliskim w otwartej na oścież
perspektywie kosmosu usiłuje oswoić się z próżnią utworzoną
pod płótnem relikwii sąsiedzkich spotkań nieporozumień i bratań
usiłuje nazwać stare fotografie wyznaczające granice namacalnych
dowodów na istnienie wczoraj odnaleźć w przestrzeni pomiędzy
kowadłem i młotem siebie sprzed kodów QR poddać się terapii
składając w jeden ciąg okupowane kiedyś miejsca i chwile przewietrzyć
powietrze z podróży po smach o budowaniu szklanych domów

Szrama

moja wieś ciągnie się za mną jak siedem grzechów głównych
z ósmym za pasem kuśtyka z czterema kulami pór roku u nóg
a tu pora wstać zabezpieczyć zbiory pomalować dom
na jesienne kolory tęczowe modne jak zapaski z którymi
mu do twarzy ale niekoniecznie pasujące do jego posiwiąłej strzechy

w powietrzu trwa wojna o każdy splot okoliczności pozwalający
skroplić łyk tamtego powietrza na jedną choćby łzę nostalgii
muzyka trwania u furtki rozszczekana w gwieździstości nocy
oddanej zabiegom stwarzania nowego nowy świat i stary porządek
początek czegoś co zostawiłem sobie na pamiątkę ran po odciskach

szramę oprawioną w onyks trwałym jak pamięć melancholię
oddziedziczyłem po zrośniętych kręgosłupów miedz
– na prawo twoja i ta na lewo jakby nie było nic pośrodku
tylko żyto i owies mogły urodzić się na kamieniu
tylko wiatr mógł pomiatać piaskiem moja skiba i cierń

to tylko wiersz o nadętych łukach śródpolnej katedry.
smakujący jak chleb z najprzedniejszej mąki taki los dojrzewał
do młodości. taki sad tęsknił za bajką o złotym jabłku
i pełnym żołądku tylko ciszy było pod dostatkiem i kobiet
nie znających snu na polach i w łóżku dziewczęta z motylami

w brzuchu które okazywały się zwykłymi ćmami
ile ciem potrzeba żeby zgasić życie ile żyć by urodzić
to które będzie moje ile zaparcia żeby wyprzeć się siebie

tożsamość to jak rodzenie się na nowo w całkiem obcym świecie
moje chłodne palce i ciepło matczynego boku

smak pierwszego mleka rozlanego kiedy zaczynasz dorastać
w klepsydrze której nikt nie odwróci nawet wszędobylskim
kodem QR płacącym za zdrowie śmiercią strzechy

Uwierzyć

dopóki można marzyć dopóki wierzyć ludziom z obcych planet
w inny świat nienazwanych jeszcze miejsc poddawać się tęsknocie
za dniem który gdzie indziej przesuwą punkt ciężkości z pełnego w puste
trzeba sobie radzić z nową twarzą jutra pośród zdezorientowanych drogowskazów,
fragmentów dróg zrosniętych w autostrady do świątyń iż których tylko gruz
wbity w gołe pięty i pomiędzy palce wznoszone do modlitwy jak dym
do pogodnego nieba bezgłośniej niczym znicz na płycie grobowca

dopóki żyć ze swoją twarzą kulą u nogi zamiast maski wbijać
gwóźdź do trumny paranoi wschodzących wciąż kolejnych słońc ławic
gwiazd płynących na oślep w oka żrenic wpatrzonych w śmierć jak kot czyhający
na wróble dopóki wklęśłość po upadku nie zasklepi się czasem pierwszą krwią po strupie
na szramie pamięci wracać będziemy w miejsce pól i drzew w którym blokowisko
odcina pępowinę od szarej substancji pnia mózgu wciśnięte między jest i było
jak linoskoczek w przestrzeń bytu i niebytu nad spaloną mapą

dopóki ptaki nie odleciały każdy z osobna w swoją stronę
możemy czuć bezpieczne ciepło zapładniać ziemię sadzić las
wciskać się w każdy wymiar jutra jak suwak samolotu w niebo odkrywać
stare nowe lądy pełne zaludnień bez zapatrzeń we własne odbicia w lustrach witryn
gdy coraz ciszej wybrzmiewają wiersze po wszystkich stronach polnych dróg
do gniazda musimy wskazać im właściwą furtkę pobielić drzewa
wyorać kamień z miedzy uwierzyć że powrócą kiedyś

Marionetka

moja wieś jak koszula Rejtana rozdarta świadomością
autentyczności niepewnej perspektywy jutra
jeszcze wierzy pamiętnikom zielników
gdzie zsuszone linie papilarne wczoraj śnił kolory
i kształty niewyśnionych za życia modlitw
o deszcz w zamkniętych słońcem ścianach śródpolnej świątyni

zasklepiona jak czerw w plastrze miodu tego co już było
myśli o ucieczce do tego co rośnie tuż za opłotkami
zakazanym owocem rajskiego ogrodu. jak mucha
zbudzona zbyt wcześnie by latać niby chce a nie może
rozwiązać gordyjskiego supła dylematu – uciekać czy zostać
rozkraczona pomiędzy bruderszaftem z łąką
a resztkami powietrza wyplutym przez miasto
marionetka w rękach opatrności nieświadoma czyjej

jak kariatyda dźwiga ciężar nie swojego świata
sacrum naiwności że może się uda ominąć złote obietnice
zakorkowanej asfaltowej drogi do nowoczesności
epistrefa czasu zmienia się w chorobę liniejących makatek
na ścianie wyblakłej od wieczornych rozmów
w krajobrazie lampy czy płomyka świecy
pełnych duchów przodków w mrocznej konstelacji

nici Ariadny rozrzucone w przeróżnych kierunkach
nie pomogą wybrać odpowiedniej drogi do ziemi obiecanej
jej kiedyś przez los i choć wskrzeszą zaklętych w metafory umarłych

nie zdążą przez to mgnienie załatać dziury w samolocie
i skończy się lot na ziemi innej niż tamta rozbije się
gliniany dzban nie zapieje odpustowy kogutek
żadna mapa w googlach nie wskaże woniejącego czystością źródła

obrazu babiego lata oplatającego głowę matki siwiejącym wieńcem
mikstury troski o dzień i ulgi wieczoru nie powróci cień
wyciętego drzewa, na którym budki lęgowe dla szpaków
i harmonia śpiewów, podtrzymywały chylący się porządek świata
dyskomfort egzystencji boli wżera się w każdy nerw
struktury ciała wioski biczuje grunt dla ukamienowania
drewnianego świątka za trud trwania w próchnie

odwieczny rytuał odnowy sarkofagów podwórek płotów
i miejsc odmierzania garściami piasku i podlewania kocich grobów
żeby wyrosły na nich kwiaty i kuwety

Katarzyna Zając

Wyróżnienie Stowarzyszenia
Bibliotekarzy Polskich
Oddział w Płocku

Kolebka

I.

Babko, topolo czarna,
ja, dzika latorośl, zapuszczam korzenie
w twoim zmurszałym ciele, przemienionym
w próchnicę. Zachłannie piję krople opowieści,
którymi obdarzyłaś mnie w posagu.

Babko, topolo znad wiślańskiego brzegu,
przeżyłaś dwóch mężów, przetrwałaś dwie wojny
i zesłanie do obozu pracy. Jak pionierka wrosłaś
w obcą ziemię i poniemiecki dom – pełen duchów.
Miałaś lśniąco rundle, ukryte w kredensie książki
i elegancki kapelusz na głowie. Nie wiedziałaś,
czym jest szczęście w miłości, choć urodziłaś
wiele dzieci. Mówiłaś: pamiętaj, nigdy nie ufaj
mężczyźnie. Na dnie szuflady trzymałaś zdjęcie
narzeczonego, który nie wrócił z wojny.

Teraz jesteś obumarłym pniem.
Kłodą - piastunką dla następnych pokoleń.

II.

Matko, sosno wysokogórska – wyrosłaś
na północnej grani. Matko, sosno – limbo,
ile w tobie mroźnego powietrza, kłujących szpilek
i srogich spojrzeń. Za nami tyle nawałnic,
halnych wiatrów i gradowych burz.

Spisali cię na straty – nazywali starą panną,
kiedy nagle przyprowadziłaś do domu zalotnika.
Ty, w żyłach której płynęła szlachecka krew,
poszłaś do ołtarza w błękitnej sukience,
pod którą rośło nowe życie. I przysięgłaś miłość
pięknemu królowi cyganów w tanim garniturze.
Babka nigdy nie wybaczyła ci zdrady. Matko,
zmęczona kuro od zimnego chowu, kolejek po mięso
i papier toaletowy, nocami samotna w pustym łóżku.
Mówiłaś: pamiętaj, nigdy nie ufaj mężczyźnie.

Teraz jesteś wykręconym przez artretyzm drzewem,
które może powalić pierwsza, letnia burza.

III.

Jestem dziką samosiejką –
skażoną złą krwią króla cyganów.
Ja, topola osika, drzę na lekkim wietrze.
Wyrosłam w domu zjaw, tajemnych szeptów
i zaklęć rzucanych przeciw mężczyznom.
Drzę, kiedy wokół padają stare drzewa,

po raz pierwszy wznoszę ramiona w błękit nieba
i swobodnie oddycham. Jeszcze mocniej drzę,
kiedy pozdrawia mnie młody, piękny buk.
Stoimy w kroplach deszczu – wpatrzeni w siebie.
Babko, kłodo – piastunko, czuję poruszenie ziemi
i twój nagły niepokój. Matko, rozgdakana kuro,
próbujesz podnieść z fotela niesprawne ciało.
Wciąż słyszę: pamiętaj, nigdy nie ufaj mężczyźnie.
Kiedy widzę swoje odbicie w leśnej sadzawce,
nie wiem: jestem, czy nie jestem do was podobna?

Teraz tańczę w zielonej sukience z młodym bukiem.
Druhny – brzozy sypią ryżem na szczęście, wznoszą toasty.

Wędrowcy

Ta opowieść zaczyna się na brzegu rzeki,
gdzie paliliśmy ogniska i pływaliśmy każdego lata.
Na srebrzystej wodzie żeglują cienie papierowych
statków i podartych przez szkwał żagli. Prądy i fale
porwały nas w przeciwne strony. W poświacie błyszczą
zjeżona sierść i kły. Noc jest skrzydłem ptaka –
płomykówka śpiewa pieśń o samotnym wilku
i rannej od strzału wilczycy.

Byliśmy nierozłączni – rzeka przechowuje
w pamięci obraz złączonych ciał, na piasku zostały
wspólne ślady. Niedostrzegalnie zaczęliśmy się oddalać.
Kto pierwszy wyprawił się do obcego lasu, zmylił tropy
i zatarł ślady? Aż przyszedł czas warczenia, ostrych
jak brzytwa pazurów i kłów zatopionych w gardle
w akcie zdrady. Patrzysz w oczy. Znowu jesteśmy

oddechem przy oddechu, skórą przy skórze,
kroplą krwi przy kropli krwi, kiedy jęzor dotyka rany.
Przez wiele nocy czuwasz, ogrzewając rozpalone
gorączką ciało. Ścielisz postanie z mchów i gałązek.
Polujesz i karmisz. Księżyc rośnie w siłę,
gdy nastaje Wilcza Pełnia. Noc jest skrzydłem ptaka –
płomykówka śpiewa pieśń o przeznaczeniu,
o cieniach idących razem wzdłuż rzeki.

Rzeko, nazywana Utratą (I)

Pamięci Dziadka

Gdzie jest twój początek? Srebrzystą wstęgą
płyniesz przez kolejne lipce i sierpień. O poranku
rodzisz mgły, a wieczorem duszną ciszę pełną
plusków i brzęczeń. Dzieci gęsiego przechodzą w bród.
A jednak kryjesz tajemnice, podwodne wiry i prądy,
skoro tamtego dnia zdradliwie podstawiałś mu nogę –
leżał na kładce jak ogromny żuk przewrócony na plecy,
ryby uciekały z kosza. Wrócił do domu obolały
i ból od tej chwili nie odstąpił – gryzł ciało jak rak,
atakował jak drapieżny szczupak. Zmienił się w rzekę,
która wystąpiła z brzegów, aby odebrać co swoje.

Kupował dziewczynce lizaki i landrynki. Strugał
drewniane zabawki. Zabierał na przejażdżki na rowerze.
Snuł opowieści o fabryce zbudowanej na kostce cukru
z kominem aż do nieba. Wokół falowały zielone wzgórza
i buraczane pola. Kiedy się śmiała, odpowiadał chropawym,
nienawykłym śmiechem. Przy dziewczynce łagodniał.
Rzeko, przed pójściem do szpitala przykuśtykał na brzeg.
Osłonił się mgłą, aby nie patrzeć w oczy.
Skurczył się i pomarszczył, zdawało się, że lekkie kości
wypełnia powietrze. Kiwał głową, gruchał jak siwy gołąb.
Niebo przecinały klucze odlatujących ptaków. Krzyczały.

Zostawiły na trawie pióra. Pierwszy szron. Lodową pustkę
w kubku niedopitej kawy, zmiętym prześcieradle.

Rzeko, nazywana Utratą (II)

Pamięci Misi

Gdzie jest twój początek? Srebrzystą wstęgą płyniesz
przez kolejne lipce i sierpień. Kiedy pakuję plecak, wędrujesz
razem ze mną. W nurcie obmywam stopy. Rzeko, przemiano,
raz jesteś Nysą Kłodzką, a raz Małą Panwią. Rzeko, kropło,
wciąż widzę: zielone sitowie, ślady na piasku, patyki na wodzie
i otrząsanie mokrego futra. Kropło, łzo, zagubiona na policzku –
przeczuwałaś, że to ostatnie lato? Jeszcze pływa, merda ogonem,
ale w ciało wgryzł się pasożyt. Rzeko, pełna meandrów,
opowiadasz te same historie: diagnozy, liniejące włosy,

skołtuniona sierść, skłębione z bólu prześcieradło, legowisko.
Ciało, które staje się śmiertelne. Ciało, które obmywamy,
ubieramy w garnitur, składamy w wydrążonym drzewie,
opuszczonej dziupli. Ciało, które trzeba uśpić zastrzykiem,
szybko pożegnać, zostawić na zimnych kafelkach. Rzeko,
kropło, czy potrafisz zawrócić bieg? Zaniósłabym ją nad wodę,
położyła pod drzewem. Wymościła w ziemi miękką kołyskę
na lodowaty sen. W świetle księżyca lśniłoby mokre futro,
w piersi biło dzikie serce. Kropło, drążysz do głębi,

przenikasz do źródła, prowadzisz kroki nad pusty brzeg.

Pokolenia

Wiatr rozwiewa mgłę nad łąką. W ułamku chwili widzę –
światliste i lekkie unoszą się nad ziemią jak zjawy: młode i stare,
wysokie i niskie, panny i mężatki, wdowy. Pod parasolkami
kryją alabastrową cerę przed słońcem. Z wdziękiem piją Earl Grey
i pływają łódką po stawie. Palce mają stworzone do gry
na fortepianie, papierosów z firką i angielskich haftów.

Z nieba leje się żar – mocne i ogorzałe młóćą sierpami.
Schylone nad spaloną ziemią, zbierają kłosa, aby upiec chleb.
W święto Mokoszy tańczą na klepisku. Furkoczą czerwienią
koralu i makowych spódnic. Czujne i płochliwe jak króliki
rodzą dzieci na miedzy. Na plecach noszą tobołki. Nad rzeką
mój młody ojciec rozbiera z sukienki młodą matkę.

Krew burzy się aż do siódmego pokolenia. Upał i wilgoć,
skóra przy skórze. Tarło i taniec godowy. Ikra złożona w wodzie.
Prababka z linii matki opuszcza się po sznurze. Po szaleńczej
jeździe karocą bierze potajemny ślub. Razem z gorsetem opadają
na łóżko maniery i konwenanse. Drży w ramionach pradziadka –
wysokiego jak dąb. Prababka z linii ojca zaprzęga konie,

spluwa na złą ziemię. Zabiera zioła i odziedziczony talizman.
Powiadają, że jest cyganką i czarownicą. Ostatni raz użyje zaklęć,
aby uwieść pradziadka, wyjechać do obcego kraju, uprawiać z nim
miłość i rolę. Światliste i lekkie unoszą się nad ziemią jak zjawy –
krwawią, opłakują utracone dzieci, karmią piersią niemowlęta,
Krzeszą ogień, opatrują rany, szyją sukienki ze skrawków,

cerują pustkę, w kociołkach czynią gusła.



Marcin Krzysztof Roszkowski
Wyróżnienie za wiersz o tematyce płockiej

Limeryk o Władku

Raz pewien Władek z Płocka rodem,
co wódę częściej pił niż wodę,
na grząski temat
wzniósł poemat.
Pluł sobie potem często w brodę.

Limeryk o molo

Turysta w Płocku zwiedzał Molo,
paląc swobodnie spliffa z colą
przy stróżach prawa.
Ech, zabawa!
Cóż za wyluzowany kolo.

Limeryk o ZOO

Pewien opiekun w płockim ZOO
słuch stracił. Ciągłe pyta „Coo?”
Jest z nim tak krucho,
bo na ucho
słoń mu nadepnął. – Co ty?! – Noo!!

Artur Kozłowski

Wyróżnienie
Dyrektora Książnicy Płockiej
w kategorii limeryku

*

Po koncertach flecista z Lublany
przez kobiety był wręcz rozrywany.
Gościł wtedy trzy, cztery
miłośniczki opery
- flet faktycznie miał zaczarowany.

*

Zastanawia się cała Orneta
jak tak można usidlić faceta?
Patologa udręka
- choć całował po rękach
to nie chciała go. Zimna kobieta.

*

Marniał korzeń Iwana z Irkucka
bo w Irkucku zimnica nieludzka.
Stąd szamana porady
„Z kozeń-szenia okłady
i na ptaka filcowa onucka”.

*

Merry Christmas

Po wieczerzy kanibal w Paranie
o potrawach wyraził swe zdanie.
„Maniok z rybą też cenię
ale uszka – marzenie!
Doskonali są ci chrześcijanie!”.

*

Kosmiczna jakość?

Regularnie odwiedza Bełchatów
statek obcych, z odległych dość światów.
Bierze tam w dobrej cenie
beczkę diesla w ORLENIE
- firmie godnej ód, pień, poematów.

Milena Gojny-Zbierowska

Rybarsko Seliszcze

popołudniowe słońce przebijało się szparami pomiędzy
karłowatymi domami i gilgotane przez drobne fale wracało
do żrenic nielicznych tutaj turystów rozszerzając ich stan
błogości. dźwięk prądu przychodził i odchodził niesiony
falą soli od morza przewijał się jak stare taśmy magnetofonowe
z zawieszonym na cząsteczkach kurzu nieśmiertelnym The
Final Countdown (obietnicą nowego, które tu nigdy nie nadchodzi)
jak koty stąpające po pyłacej ziemi. drogi wodne prowadzące
do ryb pełnych szumu morza balansowały pomiędzy przypiływem
z głębi wypraw a codziennym urobkiem rybaków o pomarszczonych
dłoniach i przesuszonych spojrzeniach. ich oszczędne języki
wiązały się ze słonymi ustnikami powołując do życia smak
tytoniu. wioska mieściła się pomiędzy moimi palcami gdy
zasłaniając ręką słońce patrzyłam na czarną płachtę wody
wbijającej się w ląd jak w pierwszy grzech

Tadeusz Dejnecki

Nad Sobótką w Płocku

nadciąga ciepły zmierzch
cichną miejskie odgłosy

nad Wisłą przy Zalewie Sobótka
w blasku księżyca dzwonią świerszcze

nadchodzi noc z mnóstwem światła
tych odbitych w wodzie
i tych które ujawnia niebo

już harmonia w mroku
gra skoczną poleczkę
dziewczęta i chłopcy chodzą gromadą
trzymając się za ręce
przy tym śpiewają i raźnie przytupują
inni puszczają wianki na Wiśle
które migocą z radością jak ich oczy
prąd je znosi na środek

jeszcze trwa pora
długich spacerów zakochanych
którzy nie mogą się rozstać

wysoko jak okna hotelu staromiejskiego
świeci miesiąc czerwcowy

Jerzy Fryckowski

Syn maluje pisanekę

Na stole gazeta z poprzedniego dnia
by nie poplamić jednego z dwóch obrusów
jakie są odświętne jeden na Boże Narodzenie drugi na Wielkanoc
Gabryś jeszcze nie zna liter
nawet tych największych krzyczących z pierwszej strony
że nikt nie strajkuje
a czerwone chorągiewki mają się dobrze
czekając w drewnianych komórkach
by znów zamienić się w szturmówki
zatykać usta karmić głodnych i naiwnych

Owalne jajko w ręku Gabrysia
zamienia się w kulę ziemską
na niebiesko będą oceany i nadzieja
na zielono doliny
w które zabierze ojciec na rowerze z wiklinowym krzesetkiem

Na białą górę lodową
które przyjdą zimą i zanim zamienią się w bałwana
każą stać w długiej kolejce po węgiel
i słono zapłacić

Na sam koniec Gabryś chciałby namalować
zmartwychwstałego Chrystusa
ale nie wie jak bo on ukazał się
pierwszej napotkanej kobiecie

Sierota

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim
Anko odkąd odeszłaś stałem się ślepcem
obojętnym na wszystko co nie jest tobą
teraz już możesz być spokojna
o jutro które i tak nie nadejdzie
śmierć jest racjonalniejsza niż życie.

W kieszeni zawsze noszę twój cień
rzucając się jak ryba bez wody
wciąż czekam na cud
potopu uschnięty do ości leczę się
wódką i chlebem
Anko przyjdź we śnie
a uwierzę w każdą fikcję
i każdego Boga.

Może sam już umarłem
a może to tylko drzewa za oknem się chwieją
pijane pod księżycem
złamanym na pół.

lockdown

jesienią sprzątałem w apartamentowcu
ludzie wyrzucali liście przez okna
drzewa kończyły lockdown
listonosz roznosił wezwania na szczepienia
w trybie światłoczułej depresji
dyskretnie skradałem się za nim
Skłodowska ta z trzeciego piętra – opowiadał –
wieczorem w pracowni próbowała sił w karaoke
zaryzykowała zjedzenie ryby fugu
- smakowała jak jej romans
przypatrywały się temu okna popołudniówek
wywijiała tuszem sen na powieki
jak Madonna z czasów like virgin rozpaliała umysł Einsteina
menzurę z niebieskim płynem wypił Elen Musk
Einstein wynajmował dwa mieszkania
puszczał w windzie bańki mydlane
ciasno mu było od masy kul
wystarczyło się ruszyć i pękały
menisk wypukły windy miał osiem samogłosek
a i to było względne
i to go oddalało od innych

a e i y o u
ą ę
na końcu owalności jest
okrągły stół który rozdzielił
miecze i pochwy
energię połączył z masą
i nic bez światła nic bez światła –
brzmiało jak pocztowa litania
doręczyciela zmysłów
no i ta Łempicka z ostatniego piętra
w bieliźnie otwierała drzwi tylko listonoszowi i dostawcy pizzy
listonosz się oblizywał i postradał od tego listy
a zmysły doręczał za potwierdzeniem odbioru
jesienią sprzątałem w apartamentowcu
ludzie liście wyrzucali przez okno
liściom skończył się lockdown